ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy
»DZIENNIKA ZACHODNIEGO«

Nr 13

Katowice, 30 marca 1947 roku • Rok 2



Admirał Thierry d'Argenlieu, wysoki komisarz Francji w Indochinach, po powrocie do kraju wysiada z samolotu wojskowego na lotnisku w Orly

Marian Wojciechowski

Chciwe oczy Germanii patrzące na Zachód

Historyczny rozwój stosunków niemiecko-francuskich

I

Francja XVII i XVIII wieku — Francja Bourbonów — pochłonięta była kwestiami wewnętrzno-europejskimi, to jest sprawą Niemiec, Włoch i Hiszpanii. Prowadziła ona tradycyjną politykę cesarstwa rzymskiego. Dążyła więc do kierowniczego stanowiska w Europie drogą osłabienia potęgi sąsiadów, szczególnie zaś możnego domu Habsburgów, który panował wówczas w Hiszpanii, Austrii, Czechach, na Węgrzech i wywierał olbrzymi wpływ polityczny na państewka niemieckie. Taką była zagraniczna polityka wielkich mężów stanu, jak króla Henryka IV, wszechwładnego ministra Ludwika XIII — kardynała Armanda Jana du Plessis, księcia de Richelieu, oraz ministra Ludwika XIV — kardynała Juliusza Mazariniego.

W drugiej połowie XIX wieku zagraniczną politykę Bourbonów wznawia bratanek Napoleona I Bonapartego, twórca Drugiej Republiki, a następnie Drugiego Cesarstwa — Napoleon III. Od r. 1856 to jest od czasu traktatu paryskiego, kończącego wojnę krymską, staje się on kierownikiem polityki europejskiej. W latach jednak od 1862 do 1867 zajęty daleką wojną — tak zwaną „awanturą meksykańską" zmuszony jest, w celu utrzymania równowagi politycznej na terenie Niemiec, poprzeć młody dom pruski Hohenzollernów, przeciw staremu domowi austriackiemu Habsburgów. Kanclerz Bismarck, przekonawszy się, że w dyplomacji francuskiej panuje nieznajomość stosunków niemieckich, zręcznie wyzyskuje zagraniczną politykę Francji. Bezpośrednio więc po usunięciu z Niemiec współzawodniczącej z Hohenzollernami dynastii Habsburgów, przygotowuje się do wojny przeciw swemu dotychczasowemu protektorowi.

KLĘSKA POD SEDANEM

Dnia 2. sierpnia 1870 r. rozpoczynają się działania wojenne. Dziedzic wielkiego imienia okazuje się „Napoleonem Małym" — (Napoleon le Petit). W dniu 2. września bowiem armia francuska pod wodzą samego cesarza kapituluje pod Sedanem, zaś Napoleon III zmuszony jest — na znak klęski — wręczyć swą szpadę królowi pruskiemu Wilhelmowi I. W dwa dni później wybucha w Paryżu rewolucja, która obala monarchię i proklamuje Trzecią Republikę z prowizorycznym rządem „obrony narodowej" na czele. 27. października potężna twierdza nad Mozelą — Metz, o armii liczącej 180 tysięcy żołnierzy, poddaje się. — 28. stycznia 1871 roku Paryż dostaje się w ręce niemieckie. Rozpoczynają się rządy Teutonów: „Rabunki, okrucieństwa, pogarda wszelkiego prawa — jak pisze jeden ze współczesnych — znamionowały postępowanie Prusaków we Francji". Niemcy na każdym kroku świadczą, że są godnymi następcami Hunów, szczególny zaś brak serca okazuje sam Bismarck: „Każda wieś, w której popełniono akt zdrady, ma być spalona do cna, a wszyscy mężczyźni powieszeni!" 26. lutego tymczasowy naczelnik rządu — znany polityk i historyk — Ludwik Adolf Thiers podpisuje w Wersalu przedwstępne warunki pokoju. 10. maja dochodzi do zawarcia pokoju we Frankfurcie nad Menem. Francja płaci olbrzymią kontrybucję w wysokości 5 miliardów franków, oraz odstępuje Niemcom żyzną Alzację i zasobną w bogactwa mineralne — Lotaryngię, z twierdzami Metz i Thionville. Spór o złoża rudy żelaznej w Lotaryngii, zaczęty jeszcze w drugim dziesięcioleciu XIX wieku, kiedy to pruski marszałek polny Gebhard Leberecht von Blücher wołał: „Alzacja i Lotaryngia muszą należeć do nas!", został tym samym rozstrzygnięty zwycięsko dla Prus.

Przegrana armii francuskiej, jest jednocześnie straszną klęską narodową. Francja zostaje odepchnięta od Renu, a następstwem tego jest odsunięcie polityki francuskiej od zasadniczych spraw europejskich. Z kapitulacją pod Sedanem zakończył się w Europie okres hegemonii Francji, a rozpoczyna się przewaga Prus. Dokonuje się więc zmiana układu sił politycznych. W miejsce Francji wyłania się nowa potęga: Rzesza Niemiecka, zjednoczona pod przewodnictwem despotycznych Prus.

„ZBROJNY POKÓJ"

Francja sumiennie wypełnia zobowiązania przyjęte w traktacie frankfurckim. Uczciwie i szybko spłaca kontrybucję, oraz dźwiga się ze swej klęski, odradza się. W polityce zagranicznej zabiega o przyjaźń Petersburga, ze względu na to, że Rosja, jako wschodni sąsiad Prus, stanowi dla Francji odpowiednie zabezpieczenie wojskowe. W okresie „zbrojnego pokoju" powiększa swą armię stosunkowo do wzrostu armii niemieckiej i powoli wysuwa się do rzędu mocarstw europejskich. W 1897 roku zawiera — okupione olbrzymimi pożyczkami — przymierze z Rosją, którego celem jest obrona przed wzrastającym ustawicznie imperializmem niemieckim. W siedem lat później udaje się ambasadorowi francuskiemu w Londynie Pawłowi Cambon zawrzeć porozumienie z Anglią. Porozumienie to, zwane serdecznym — entente cordiale, dominuje odtąd w polityce europejskiej.

W okresie późniejszym, za prezydentury Emila Loubeta, szczególnie zaś za rządów premiera Emila Combesa (1902/05), prowadzi się we Francji zaciekłą propagandę pacyfistyczną. Pacyfiści wznoszą ustawicznie hasła antymilitarne, w następstwie których grozi nawet dezorganizacja armii. Na autora ustawy o przedłużeniu służby wojskowej — Aristida Brianda, dokonują zamachu, zaś apostoł pacyfizmu, Paweł Estournelles de Constant, otrzymuje za działalność pokojową — nagrodę Nobla. W tymże jednak czasie Niemcy podnoszą swą potęgę militarną do niesłychanego poziomu.

WOJNA I ZWYCIĘSTWO

W dniu 2. sierpnia 1914 roku Wilhelm II wypowiada wojnę Francji. Francja — „bankier narodów" — jedno z najbogatszych i najlepiej zagospodarowanych państw świata, jest nie przygotowana do wojny. Czując się bezpiecznie poza licznymi, silnymi twierdzami, jak Belfort, Toul, Verdun, pozwala wrogowi wejść na swe terytorium, nie przewiduje bowiem możliwości wkroczenia Prusaków przez Belgię. Francji w latach od 1914—1916 grozi wielkie niebezpieczeństwo. Niemcy zajmują jedną dziesiątą część jej terytorium, a szalone ataki armii kronprinza na Reims i betonowe kazamaty Verdun, bronione przez generała Henryka Filipa Pétaina, zmierzają do otwarcia drogi do „serca Francji" — Paryża. Niemcy pragną szybko wykończyć Francję, by z kolei zaatakować Rosję. Chcą zaś przede wszystkim zająć silnie ufortyfikowaną „linię Mozy", obejmująca wielkie złoża rudy żelaznej w Briey, oraz graniczące z Belgią francuskie wybrzeże kanału La Manche po rzekę Somme. W ten bowiem sposób uzyskaliby wyjście na Ocean Atlantycki stanowiące — według nich — „kwestię życia dla przyszłego znaczenia na morzu". Pragnieniem Niemców jest też zabranie Francji węglowych departamentów Nord i Pas-de-Calais, z portem Calais, stanowiącym najkrótsze połączenie z Anglią. Niemniejszy apetyt mają Niemcy również na kolonie francuskie. Francja bowiem — dzięki położeniu nad Morzem Śródziemnym, które w przeszłości Europy odegrało tak olbrzymią rolę, oraz Atlantykiem, najważniejszym z oceanów — mając otwarte światowe drogi morskie, prowadziła wielkie podboje kolonialne. Stąd też kolonie francuskie zajmują — pod względem rozmiarów — drugie miejsce na świecie po Anglii, liczą bowiem 12 milionów km kw. z 59 milionami ludności.

Pobudzeni słowami Marsylianki „Ruszajmy dzieci ojczyzny!" — „Allons enfants de la patrie", żołnierze francuscy stawiają zacięty opór. W kraju natomiast wiadomości o niepowodzeniach militarnych sprzyjają szerzeniu się propagandy antywojennej. Objawem zaś krzewiącego się defetyzmu jest działalność ministra spraw wewnętrznych — Ludwika Malvy'ego i b. premiera — Józefa Caillaux, którzy szukają dróg porozumienia z Niemcami. Marszałek Ferdynand Foch zachęca jednak przemęczone wojsko słowami: „Zwycięży ten, kto wytrwa dłużej!", hasłem zaś patriotycznej części narodu francuskiego staje się: „Wytrwać do końca, do zwycięstwa!" — Jusqu'au bout!

W kwietniu 1918 roku naczelne dowództwo nad armiami państw sprzymierzonych na froncie zachodnim obejmuje marszałek Foch, który doprowadza do zwycięskiego rozstrzygnięcia wojny. Francuzi od obrony swych granic przechodzą do odzyskania utraconych w 1871 roku prowincyj Alzacji i Lotaryngii, oraz do zajęcia zasobnego w węgiel — co dla Francji nie posiadającej nafty, ma szczególnie ważne znaczenie — Zagłębia Saary.

REN — WAŁEM OCHRONNYM

Francja, napadnięta dwukrotnie w okresie pięćdziesięciu lat oraz przeżywszy dwukrotną inwazję, zmierza — bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wojny światowej — do stworzenia z prowincyj nadreńskich państewka buforowego pod własną kontrolą. Powstałe na lewym brzegu Renu autonomiczne i neutralne państewko, byłoby okupowane przez wojska francuskie do czasu, gdy Niemcy spełnią w zupełności wszystkie warunki zawarte w traktacie pokojowym. Tym samym zagrożona dotychczas otwar

(Dokończenie na stronie 2)

Przepaliła się żarówka...

Gdy mechanicznym ruchem przekręcając wyłącznik, zalewamy pokój jasną falą elektrycznego światła, nigdy nie przychodzi nam na myśl zastanowić się nad tym, skąd się ono bierze. Dopiero gdy ruch ręki, przytkniętej do guziczka, nie da w efekcie spodziewanej jasności, poczyna się rozmyślanie, gdzie tkwi przyczyna zła. Może stało się coś w gniazdku, może przepaliła się żarówka?

Oglądamy uważnie szklaną gruszkę, przyglądamy się wątłym drucikom. Pękły? — Nie pękły! — Dlaczego nie świeci?

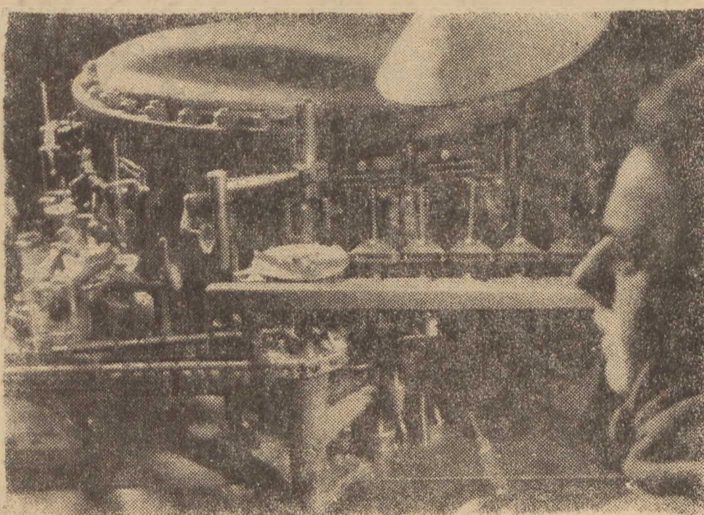
Dla laika nie mniej skomplikowanie wygląda produkcja żarówek. Trudno rozeznać się w przemyślnych maszynach, zgrzytliwie stukających w fabrycznej sali. I dopiero rzeczowe tłumaczenie inżyniera, wprowadza myśl na właściwe drogi. Padają słowa: balon, nóżka, talerzyki, pręciki z elektrodami, wolframowe spirale — i ze słów tych tworzy się pojęcie żarówki.

Fabrykację żarówki rozpoczynamy od... mycia szklanego balonu, dostarczonego z huty szklanej oraz suszenie go w specjalnym piecu.

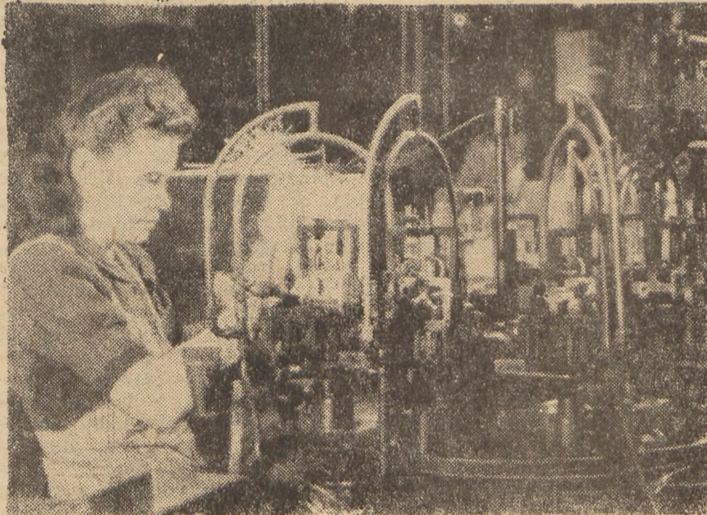
Na całym szeregu specjalnych maszyn odbywa się teraz montaż konstrukcji wewnętrznej żarówki, którą wmontowywuje się do szklanego wnętrza. Po wypompowaniu z balonu powietrza dla stworzenia próżni, następuje osadzenie na szkle oprawki i zalutowanie przy pomocy specjalnego kitu, wiążącego szkło z metalem.

Gotowa już żarówka przechodzi z kolei próbę świecenia, po czym poddana jest zasadniczej kontroli technicznej. Następuje teraz cechowanie znakiem fabrycznym, oznaczenie właściwości technicznej, a wreszcie pakowanie i ekspedycja.

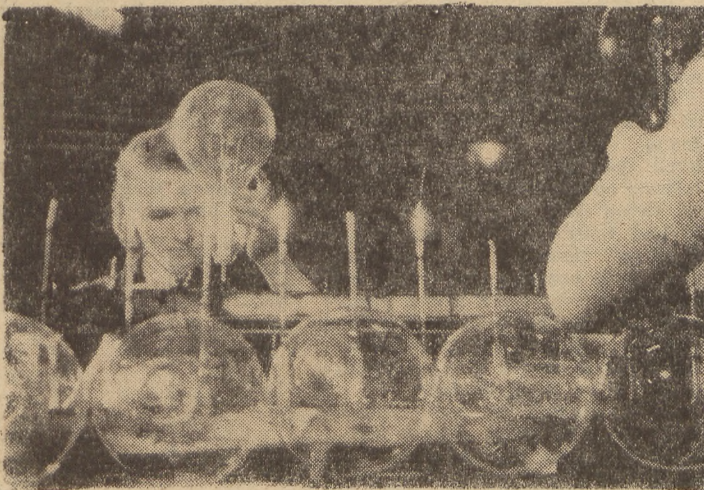
Gotowa żarówka idzie w świat.



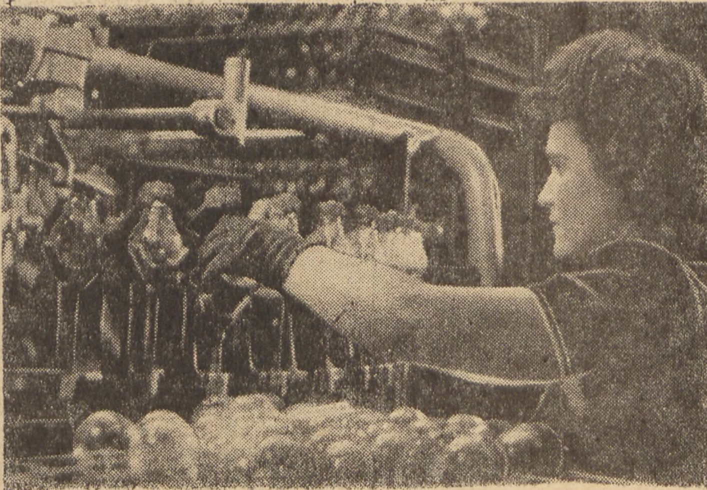
Jedna z maszyn — automatów, używanych do produkcji żarówek



Nożkarka — maszyna do produkowania wewnętrznej części żarówki



Wypełnianie gazem żarówek wysokowattowych

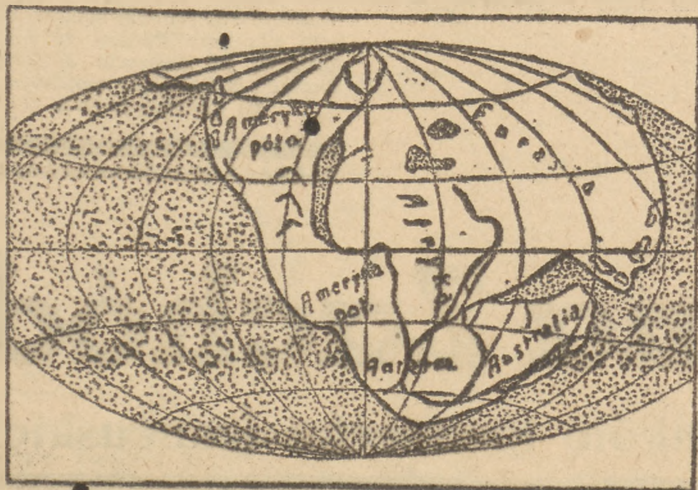


Automatyczna oprawiarka. Pracownica, obsługująca maszynę, zakłada na część szklaną oprawkę, a wyjmuje gotową żarówkę

(Zdjęcia wykonane w fabryce żarówek „Helios" w Katowicach)

Nowa teoria historii ziemi

Podczas obserwacji kuli ziemskiej, na której rzucają się w oczy dziwnie harmonijnie biegnące wybrzeża Oceanu Atlantyckiego, wpadło pierwszy raz na myśl Alfredowi Wegenerowi, że tego rodzaju ukształtowanie linii brzegowej nie może być jedynie czystym przypadkiem, że wybrzeża te wzajemnie się uzupełniają i są krawędziami poszczególnych części, na jakie niegdyś rozdzielony został pierwotny obszar jednolitego lądu stałego.



Młodszy okres węglowy; współczesne kontynenty tworzyły wtedy zwartą pokrywę lądu, otoczoną zewsząd oceanem

Myśl tę przeobraził Weneger w śmiałą teorię, po zapoznaniu się z całym szeregiem zagadnień, które dostarczały dotychczas najbardziej sprzecznych odpowiedzi, a które teraz udało się podporządkować w ramy niezwyklej koncepcji i wspaniale rozwiązać.

Geografia zwierząt i roślin, czyli rozmieszczenie ich na kuli ziemskiej uczy nas, że podział lądów i mórz musiał niegdyś wyglądać całkiem inaczej, aniżeli obserwujemy to obecnie. Podobieństwa w świecie zwierząt i roślin tych obszarów, które dzisiaj przedzielone są rozległymi i głębokimi oceanami, można tłumaczyć jedynie w ten sposób, że w najdawniejszych czasach istniało połączenie pomiędzy tymi lądami. Przyjmowano, że były to olbrzymie pomosty lądowe, za pośrednictwem których dokonywać się mogła wymiana żywych organizmów. Że z czasem te wydłużone połacie lądu zniknęły bez śladu pod wodą, na skutek ruchów skorupy ziemskiej, wydawało się rzeczą całkiem prostą.

Ponieważ jednak na lądzie stałym znajdujemy liczne skamieliny, wskazujące na pierwotną obecność tutaj morza, często nawet poprzegradzane złożami lądowymi, sądzić wypada, że poszczególne części lądu ulegały wynurzeniu i zatopieniu cały szereg razy.

W krańcowym przeciwieństwie do powyższej teorii stoją badania licznych geofizyków, według których lądy i zagłębienia morskie zawsze istniały w tym stanie, jak przedstawiają się dzisiaj. Według nich skały pochodzenia morskiego są złożami płaskodennych i płytkich mórz, zaś lądy stałe nie były w rzeczywistości nigdy dnem głębokiego morza. Równie nieprawdopodobnie wyglądałoby przypuszczenie, aby obecne morza były kiedyś lądem.

Gdybyśmy zdołali sobie wyobrazić znaczne części oceanów, poprzecinane olbrzymimi pomostami lądowymi, jak tego wymagała geografia zwierząt i roślin, wówczas ścieśnione masy wód zalałyby i nakryłyby sobą wszystkie lądy, nie mówiąc już o pomostach je łączących.

Również pomiary ciężaru przemawiają przeciwko nieograniczenie zmieniającym się wynurzeniom i zatopieniom lądów. Skorupa ziemi, abstrahując od miejscowych zaburzeń, jest wszędzie w równowadze. Tam, gdzie olbrzymie jej masy spiętrzają się w górskie grzbiety, nie jest ona cięższa od miejsc, pokrytych przepaścistymi głębiami olbrzymich oceanów. To znaczy, że podłoże mórz muszą składać się z innej, cięższej materii, aniżeli lądy stałe.

Podobnie jak bryły lodu w wodzie, pływają więc lżejsze kontynenty stałego lądu na cięższym podłożu (Rys. 4). Obciążone więcej zanurzają się proporcjonalnie głębiej, uwolnione z balastu wynurzają się wyżej, jak to widzieć możemy obecnie na przykładzie Skandynawii, uwalnianej z powłoki lodowej.

Według tej, zupełnie umotywowanej teorii o równowadze zanurzenia skorupy ziemskiej, nie jest możliwym, aby wielkie obszary lądów były kiedyś dnem głębokich mórz.

Jeśli nie istniały pomosty lądowe, w miejscach, gdzie obecnie rozpościera się morze, jakże była możliwa wymiana fauny i flory, której wymaga nauka biologii?

Na pytanie to daje odpowiedź teoria Wegemera, uwzględniająca w równym stopniu biogeografię i geofizykę: to co nie mogło być uzyskane przez ruchy pionowe, osiągnięte zostało przy pomocy bocznych przesunięć. Jeśli zesuniemy do siebie Południową Amerykę i Afrykę, wtedy przylegają do siebie prawie wszystkie większe wybrzuszenia jednego wybrzeża do zatok i wgłębień drugiego i na odwrót. W ten sposób możemy sobie wyobrazić połączenie mięg-dys Ameryki Północnej z Grenlandią i Europą. Indie Przednie przylegały dokładnie do wschodniego wybrzeża Afryki, a na południu dołączały się kontynenty Australii i Antarktydy, łączącej się również drugim końcem z Ameryką Południową.



Czwartorzęd; oddzielenie się kontynentów postąpiło naprzód; pomiędzy nimi powstały nowe oceany, Atlantycki i Indyjski; Antarktyda jest jeszcze połączona z Południ. Ameryką, Australia natomiast odłączyła się zupełnie

Jeszcze w okresie węglowym (Rys. 1.) tworzyły te kontynenty jedną całość. W ciągu następnych epok geologicznych rozdzielały się one ustawicznie i oddalały od siebie (Rys. 2 i 3). Działo się to pod wpływem ogólnego ruchu skorupy ziemskiej na zachód, przy czym poszczególne części lądów poruszały się z różną prędkością (właściwie było to pozostawanie w miejscu w stosunku do rotacyjnego obrotu kuli ziemskiej w kierunku wschodnim).

Amerykańskie wybrzeże zachodnie, jako przednia ściana naciskających mas, zostało sfałdowane w olbrzymie pasmo Andów, na skutek silnego oporu nieustępliwego podłoża, zaś wąski cypel południowy wygięty został w kierunku wschodnim. Pojedyncze i mniejsze części lądu pozostały w czasie tych ruchów częściowo w tyle i ułożyły się łuskowato w formie girlandy, jak to widzimy na przykładzie Archipelagu Indochin, południowych Antyli i wysp wschodnio-azjatyckich.

Obok wędrówki na zachód, istniał także ruch w kierunku ówczesnego równika. Przez ucieczkę od biegunów utworzyły się np. rozciągnięte w kierunku wschodnio-zachodnim pasma górskie południowej Europy i Azji. Wielka część rozległego półwyspu Przednich Indii została wtedy spiętrzona w olbrzymie fałdy Himalajów.

Jakkolwiek powyższy tok rozumowania wydaje się na pierwszy rzut oka fantastycznie odważny, tym niemniej nie jest on samowolny. Wegener przytacza bowiem cały szereg faktów na poparcie swej teorii.

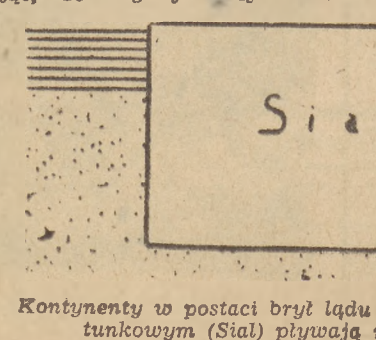


Okres kredowy; jednolita masa lądu rozpada się; Południ. Ameryka, Antarktyda, Australia i Przednie Indie oddzielają się od Afryki

Z dowodów geologicznych rzucająca się w oczy jest jednolitość budowy odpowiadających sobie obszarów Południowej Ameryki i Afryki. Pasma górskie w Południowej Afryce mają swój dalszy ciąg w Argentynie. Gnejsowej płycie afrykańskiej odpowiada podobna w Brazylii. Pola diamentowe spotykamy na obydwu lądach. Skały osadowe oraz pochodzenia wulkanicznego wykazują znaczną zgodność w swej budowie, a rzeźba odpowiadających sobie wybrzeży, pomimo olbrzymiego oddalenia jest częstokroć podobniejszą, aniżeli w obrębie samych kontynentów, na mniejszych nawet odległościach.

Poważniejsze problemy wyłaniały się jednak wtedy, gdy, uwzględniając obecny podział lądów, śledzić będziemy zasięg zlodowacenia, którego ślady znaleźć możemy daleko na południu, aż w Przednich Indiach, a więc niedaleko równika, podczas gdy w tym samym czasie w innych częściach ziemi panował klimat gorący.

Jednak i tę, na pierwszy rzut oka sprzeczność, wyjaśnia dostatecznie teoria Wegenera, zakładając, że bieguny miały wówczas inne położenie, aniżeli dzisiaj i że biegun południowy leżał pośrodku obszaru zlodowacenia. Równik musiał wobec tego przebiegać dalej na północ, a w Europie wypadał w naszych obecnych szerokościach geograficznych właśnie tam, gdzie rósł wówczas pas podzwrotnikowej roślinności, o czym świadczą zresztą obecnie złoża węgla kamiennego. Nawet późniejsze zmiany klimatu i ochładzanie się jego w Europie, aż do zlodowacenia, wyjaśnia Wegener przez odpowiednie przesuwanie się biegunów.



Kontynenty w postaci brył lądu stałego o mniejszym ciężarze gatunkowym (Sial) pływają na cięższym podłożu (Sima)

Rozdział przedhistorycznych i obecnych żywych organizmów, o których na wstępie wspomnieliśmy, a który doprowadził do teorii pomostów lądowych, teorii, której prawdziwości udowodnić nie było można, zużytkował Wegener, jako potwierdzenie własnej koncepcji. Przez pierwotne złączenie wszystkich lądów stałych łatwo można wytłumaczyć obecność zwierząt-torbaczy w Australii i Południowej Ameryce, krowy morskiej w Afryce Zachodniej i w tropikalnej Ameryce, małpiątek na Madagaskarze i w Południowej Azji. Przekonywającym przykładem na północnej półkuli jest zasięg ślimaka, Trachea hortensis, który występuje jedynie w Zachodniej Europie i wschodniej części Ameryki Północnej. Aby te stosunkowo niewielkie obszary między sobą połączyć, musiałoby się przyjąć istnienie nieprawdopodobnie wydłużonych pomostów lądowych, a następnie ich zatopienie.

Bezpośrednim dowodem słuszności przypuszczeń Wegenera byłoby stwierdzenie, że i dzisiaj znajdują się jeszcze kontynenty w ruchu, powodując ich wzajemne oddalanie się. W tym celu już on sam próbował porównywać starsze pomiary ich długości z nowszymi, na mocy których stwierdził, że Grenlandia faktycznie jeszcze obecnie oddala się ustawicznie od Europy. Ponieważ są to ruchy mało uchwytne, przeto oczekiwać należy, że dopiero najbliższe dziesięciolecia rozstrzygną ostatecznie to zagadnienie.

O tym, że przesunięcia części skorupy ziemskiej w ogóle są możliwe, świadczą sfałdowania górskie, których podstawy, wynoszące wiele setek kilometrów długości, ścieśnione zostały na ułamek pierwotnej rozciągłości. Siły, którym to zawdzięczamy, mogły prawdopodobnie również odsunąć poszczególne kontynenty od siebie. Jakiego rodzaju są one, trudno na to dziś jeszcze odpowiedzieć.

Teoria Wegenera, która w sposób przekonywający wskazała nowe drogi rozwiązania wielu zagadek historii naszej ziemi, znalazła zapalonych zwolenników. Jest rzeczą zrozumiałą, że wprowadzając niesłychanie śmiałe i nowe pojęcia, spowodować musiała również najostrzejszy sprzeciw wielu uczonych, ponieważ jak jeden z nich się wyraził: „gdybyśmy chcieli wierzyć teorii Wegenera, musielibyśmy o wszystkim zapomnieć, czegośmy się w ostatnich siedemdziesięciu latach nauczyli i znów zaczynać wszystko od samego początku."

Również dzisiaj, po upływie [illegible] lat od jej powstania sprzeczność zapatrywań nie została rozstrzygnięta. Niezaprzeczalne są jednak nowe, olbrzymie perspektywy, jakie wskazał Wegener nauce, dając bodźca do ponownej rewizji wszystkich dotychczasowych wiadomości i kontynuowania dalszych badań.

MARIAN BIELEWSKI

Chciwe oczy Germanii patrzące na Zachód

(Dokończenie ze strony 1)

ta północno-wschodnia granica lądową, zostałaby zmieniona przez naturalną, strategiczną granicę, którą byłaby linia rzeki Renu. Usilnie domagał się tego „ojciec zwycięstwa", premier, minister wojny i przewodniczący konferencji pokojowej w Wersalu — Jerzy Eugeniusz Clémencau, który cieszył się olbrzymim poważaniem narodu francuskiego. On to bowiem, będąc posłem w 1871 r., nie chciał podpisać hańbiącego traktatu frankfurckiego, a w okresie przygnębienia spowodowanego przegraną, pocieszał rodaków: „Naród nie jest pobity, dopóki nie pogodzi się z klęską!" Granicy strategicznej domagał się również wódz narodów zwycięskich i wielki mąż stanu — marszałek Ferdynand Foch: „Musimy posiadać lewy brzeg Renu. Ani pomoc brytyjska, ani amerykańska nie są dość silne i nie mogłyby na czas zdążyć, ażeby odwrócić nieszczęście od naszej doliny północno - francuskiej i uchronić Paryż przed nowym zagrożeniem. Ren jest zatem — i zawsze pozostanie — jedynym niezbędnym wałem ochronnym bezpieczeństwa Francji i Europy zachodniej — i bezpieczeństwa cywilizacji". Francja uważa więc Ren za kwestię życia i śmierci. Rząd francuski jednak zmuszony jest odstąpić od żądań swych wielkich mężów stanu na skutek stanowczego sprzeciwu tak prezydenta Stanów Zjednoczonych — Woodrowa Wilsona, jak i premiera Wielkiej Brytanii — Lloyd George'a. Argumentem zaś, którym się obaj anglosascy mężowie posługują jest to, że wcielenie paruset tysięcy Niemców do Francji może w przyszłości stać się zarodkiem rozprzężenia jej organizmu politycznego. Wysuwają oni przeto, jako ekwiwalent, nową koncepcję: Stany Zjednoczone i Wielka Brytania gwarantują solidarnie nietykalność granic Francji i Belgii oraz zobowiązują się pośpieszyć z pomocą militarną w razie ataku Niemiec.

Głównym powodem niemożności urzeczywistnienia granicy francuskiej nad Renem było nieprzychylne stanowisko premiera angielskiego. Anglia bowiem, tradycyjnie zwalczając państwo dążące do przewagi w Europie, nie chciała widzieć Francji z jej wielką armią u brzegów rzeki Renu. Francja, odebrawszy Alzację i Lotaryngię, posiadającą cenną rudę żelazną i rozwinięty przemysł włókienniczy oraz zatrzymawszy na lat 15 zagłębie węglowe doliny Saary, a tym samym pozbawiwszy Niemcy surowców potrzebnych w przemyśle wojennym i oddzieliwszy od Niemiec Austrię, uniemożliwia Prusakom odzyskanie przedwojennego stanowiska na kontynencie. Tworząc zaś państewko nadreńskie, miałaby przewagę pozycji strategicznej nad Niemcami, a stąd już — według Anglików — byłaby dla Francji prostą drogą do odzyskania utraconej w 1870 roku hegemonii w Europie. „Co się nas tyczy — stwierdził pewien Francuz mówiąc o Anglii — nie możemy zapominać, że dopomogła nam ona wygrać wojnę, ale również nie możemy zapomnieć, że następnie uczyniła wszystko, co było w jej mocy, abyśmy przegrali pokój".

TRAKTAT WERSALSKI

Celem poniżenia Niemiec, a dania pełnej satysfakcji Francji, pokój zostaje podpisany w Wersalu, w tej samej zwierciadlanej sali, gdzie przed 47 laty podpisano przedwstępne warunki pokoju, oraz proklamowano cesarstwo niemieckie. Francja, na mocy podpisanego teraz pokoju, odzyskuje żyzną Alzację i najcenniejszy obszar górniczy — Lotaryngię. Niemcy jednak, którzy w 1871 r. zagarnęli te kraje wbrew woli mieszkańców, domagają się — bezskutecznie — przeprowadzenia na tych obszarach plebiscytu.

Przez udział w pierwszej wojnie światowej Francja nie poprawiła swego stanowiska geopolitycznego. Ponosząc główny ciężar walk, które pochłonęły olbrzymie sumy, wyszła okropnie zniszczona. Dziesięć, najgęściej zaludnionych, najbogatszych i najbardziej uprzemysłowionych departamentów, o rozwiniętym przemyśle metalowym, maszynowym, chemicznym i tekstylnym, przestaje dla jej gospodarki istnieć. Wyczerpana nadludzkimi wysiłkami, na skutek ponad pięćdziesięciomiesięcznej walki w okopach, zakończonej olbrzymią liczbą strat ludności, wynoszącej w samych tylko poległych około półtora miliona, Francja zostaje nadmiernie osłabiona. Cierpi przy tym na wyludnienie, posiada bowiem bardzo mały przyrost ludności, który w dodatku zmniejsza się z roku na rok, podczas gdy przyrost ludności Niemiec szybko wzrasta, czego przykładem może być fakt, że w latach od 1871 do 1914 Francja z 36,5 miliona ludności doszła zaledwie do 39,6 milionów, kiedy Niemcy — w tymże samym czasie — z 41 milionów wzrosły do 68 milionów. Wojownicze Niemcy posiadają więc ludność przeszło półtora razy liczniejszą niż pokojowa Francja.

SYSTEM ALIANSÓW

W traktacie pokojowym, zawartym w Wersalu, bezpieczeństwo Francji zostało oparte na niepewnych podstawach. Anglia, wierna swej tradycyjnej polityce równowagi sił, zwalczającej hegemonię każdego państwa kontynentalnego, nie chce też i teraz wzmacniać wpływów Francji w Europie, szczególnie silnych, na skutek pozornego odpadnięcia dwu mocarstw: Niemiec i Rosji. Nie życząc więc sobie nieskrępowanej hegemonii Francji, dąży przeto wytrwale i konsekwentnie do podkopania jej mocarstwowego stanowiska i do zapewnienia Niemcom — jako głównej przeciwwagi potęgi francuskiej — pierwszorzędnej roli w stosunkach międzynarodowych. Francja, która tak wielu ofiar dostarczyła Molochowi wojny, drży przed nie zniszczoną — a nawet już odbudowującą się — potęgą teutońską. W celu więc wzmocnienia własnego bezpieczeństwa, zmierza ona do zgrupowania oddanych sobie młodych — przeważnie słowiańskich — państw, do stworzenia z nich bloku naturalnych sprzymierzeńców, którzy by jej z konieczności, z własnego interesu, nigdy nie opuścili. Zadaniem więc polityki francuskiej staje się przygotowanie odpowiednich sił, mogących przeciwstawić się zaczepnym tendencjom Niemiec i umożliwiających ugruntowanie mocarstwowego stanowiska Francji na kontynencie europejskim.

Stworzony po pierwszej wojnie światowej francuski system aliansów obejmuje Belgię, Małą Ententę — to jest Czechosłowację, Jugosławię i Rumunię oraz Polskę. Najważniejszym partnerem na wschodzie, według tej koncepcji francuskiej, była Polska i dlatego w dniu 19 lutego 1921 roku zostaje w Paryżu zawarte ścisłe przymierze polsko-francuskie — accord polono-français. W imieniu Francji podpisali je prezydent Republiki Aleksander Millerand, premier Aristide Briand i minister wojny — Jan Ludwik Barthou. Przymierze to obejmowało wzajemne porozumienie tak w sprawach polityki zagranicznej, jak w kwestiach gospodarczych i wojskowych. Polska miała być odtąd trwałym filarem systematu francuskiego w Europie, polityczną i militarną rezerwą Francji na wschodniej granicy Niemiec.

(Ciąg dalszy w następnym tygodniowym dodatku „Świat i Życie").

Wielkopostne zwyczaje ludowe



Matka Boleściwa — Drzeworyt Wł. Skoczylasa

Z okresem Świąt Wielkanocnych związanych jest wiele dawnych obrzędów i zwyczajów ludowych. Niektóre z nich sięgają czasów pogańskich.

Okres Wielkanocy jest bardzo ważny przede wszystkim dla rolnika. Zbiega się on bowiem z momentem budzenia się przyrody do życia. Symbolem tej ważnej zapowiedzi w przyrodzie jest **zwyczaj topienia „Marzanny".**

„MARZANNA" I „GAIK"

W czwartą niedzielę postu, zwaną „białą" lub „śmiertelną" oprowadzają chłopcy po wsi tzw. „Marzannę". **Jest to słomiana kukła, przepasana powrósłem przez pół.** Końce tego powrósła trzyma z każdej strony jeden z chłopców. Z



Grupa dziewcząt z „gaikiem"

piosenką na ustach przechodzą przez wieś, po czym udają się nad wodę, zapalają lalkę i płonącą wśród krzyków wrzucają do wody. Między innymi śpiewają:

„Marzanno! Marzanno!
Powiedz, co ma ziemia zielone.
— Sosnę w boru, żytko w polu!

Dziewczęta natomiast chodzą w tę niedzielę z „gaikiem", maikiem", względnie „nowym latkiem". Jodełkę lub świerk przystrajają w kolorowe wstążeczki. Chodzą od domu do domu i zwiastując wiosnę, śpiewają:

„Do tego tu domku wstępujemy
szczęścia zdrowia wam życzymy,
Nasz gaik zielony, pięknie ustrojony
pięknie sobie chodzi, bo mu się tak godzi.
Pani gospodyni,
nowe latko w sieni,
chcecie oglądować
musicie coś dać."

Jedna z dziewcząt obraca gaikiem, a druga trzyma koszyk, przygotowany na podarunki. Skoro tylko otrzymają jakiś podarunek, odchodzą śpiewając: „**Już tu nie przyjdziemy, aż na bezroczek, jeśli dożyjemy."**

PALMY

W ciągu następnego tygodnia przygotowują dziewczęta gałązki, wierzby, trzciny wodnej, leszczyny, jałowca, borówek, kaliny i mirty na palmę. **Istnieje przesąd, że przed poświęceniem nie wolno tych gałązek wnosić pod dach chaty, gdyż to ściąga nieszczęście na gospodarstwo.** Chłopcy niosą palmę do kościoła. Po powrocie z kościoła idzie chłopak wpierw do chlewa i uderza palmą bydło, by nie miały do niego dostępu złe duchy. Wreszcie uderza nią drzewa w sadzie, aby obficie obrodziły. Każdy zjada bazie z poświęconej palmy, gdyż ma to chronić przed wewnętrznymi chorobami. Palma w ogóle ma chronić dom od pioruna i od ognia. Wypędzając bydło na pole gospodarz uderza je palmą, by było zdrowe.

Dość powszechne jest wierzenie, że w czasie śpiewania pasyj w kościele, **podczas sumy w Niedzielę Palmową, zjawiają się na polach skarby.** Górnicy zaś powiadają, że Skarbnik, duch kopalni, **opuszcza swoje podziemne skarby na czas sumy w Niedzielę Palmową.** Wtedy to można bezkarnie korzystać z tych bogactw. Kogo jednak Skarbnik zastanie przy swoich skarbach, zamyka go na wieki w czeluściach kopalni.

„JUDASZ" I INNE OBYCZAJE

W niektórych okolicach **chłopcy chodzą w Wielki Czwartek z „Judaszem".** Z dziedzińca kościelnego wyrusza gromada chłopców z kijami, klekotkami, grzechotkami i słomianym chochołem przez wieś ku wodzie, gdzie chochoła („Judasza") topią.

W Wielki Piątek, przed wschodem słońca, udają się do pobliskiego potoku, aby obmyć twarz, szyję i nogi, nie obcierając się. Ma to chronić przed chorobami. Gospodyni w tym dniu wymiata śmiecie z domu przed wschodem



Oprowadzanie po wsi „Marzanny"

słońca, aby nie mieć przez cały rok robactwa w domu. Masło zrobione przed wschodem słońca, ma posiadać własności lecznicze.

Chłopcy urządzają w Wielki Piątek względnie Wielką Sobotę t. zw. „pogrzeb żuru". Zbierają się gromadą, biorą ze sobą łopaty i garnek z żurem. Udają się poza wieś. Garnek z żurem niesie chłopak, który pierwszy raz w tej ceremonii bierze udział. Kiedy już są za wsią, jeden z uczestników uderza tak w garnek, że żur wylewa się na niosącego. Jest to pamiątka zakończenia postu.

„PISANKI" — „KRASZANKI"

W Wielką sobotę **malują dziewczęta jaja wielkanocne, które nazywają „pisankami" lub „kraszankami".** Lud obdarowuje nimi księdza, gospodarza, służbę, sąsiadki dają je sobie na szczęście, dziewczęta dają je „śmiguśnikom". Jajka te przechowuje się długo w domu, a skorupy zakopuje się w ogrodzie lub w polu, co pomaga przy zbiorach, chroniąc od suszy, gradobicia i powodzi.

W Wielką Sobotę święci się potrawy wielkanocne, ogień i paschał. W niektórych okolicach gospodarze kropią wodą pola aby dobrze obrodziły, jak również dom, domowników, i bydło.

A. WASZEK



W Wielką Sobotę malują dziewczęta jaja wielkanocne, zwane „pisankami" lub „kraszankami"

Wielki Tydzień w obozie mysłowickim

Stefan Polak z Dąbrowy Górniczej, były więzień niemiecki, przesłał nam swoje wspomnienia z pobytu w obozie mysłowickim w 1941 r. Opowiadanie to jest jeszcze jednym dowodem niemieckiego zbrodniczenia.

— „Antreten zum Apell".

Ze wszystkich pryczy, jak psy ze swoich nor pośpiesznie wysuwali się więźniowie. Ustawili się piątkami. Zwracali głowy w prawo, by wyrównać szereg. Wychudłe i obdarte postacie o zapadniętych głęboko oczach, w których malował się obłęd i lęk, półnadzy prawie że boso stali, zaciskając zęby i równali w milczeniu. Zakazano mówić. Ranami pokryte twarze wykrzywiały się z bólu, na których widniała nie obmyta, zaschnięta krew. Ludzie morzeni głodem, chwiali się na nogach.

Przez cały okres pobytu w Mysłowicach nie wolno było inaczej się położyć jak tylko na brzuchu, wyciągając przy tym ręce ku przodowi, nosem zaś dotykając desek, a nogi trzymać przepisowo na baczność. Więźniowie leżeli na gołych pryczach zbitych z nieheblowanych desek. Na pryczy nic więcej nie było.

Gdy aresztowany nie miał ze sobą płaszcza, ginął z zimna, ubranie zaś wydarł przez codzienne ćwiczenia i bicia, tak, że pozostawał prawie lub całkowicie nago, nosząc tylko podpaskę ze szmat. Wszy gryzły niesamowicie.

Do apelu przygotowywaliśmy się zwykle z bojaźnią. Słabi ludzie chwiali się w szeregach. „Kalfaktorzy" natomiast chcąc utrzymać równe szeregi, dopadali chwiejącego się i jednym potężnym uderzeniem pięści, zwalali na posadzkę, okładając następnie niemiłosiernie bykowcami, skakali po nim tak długo, aż się ofiara całkowicie krwią zalała i straciła przytomność. Zwykle przy apelu było kilka takich ofiar i szeregi stały wyrównane.

Stojąc w pierwszym szeregu, przyglądałem się nieludzkim wybrykom „kalfaktorów". W tym dniu obok mnie stojący Roman Wątrobiński, zwróciwszy twarz w prawo niby dla wyrównania szeregu, szepnął:

— Dziś Wielki Czwartek, słyszysz?

— Tak — odpowiedziałem jeszcze ciszej i nagle „Augen rechts" — przerwało nam rozmowę.

To nasz oprawca, „kalfaktor" Marian Biedziński zauważywszy „lagerfuehrera", począł wchodzącemu zdawać głośno meldunek. Opasłe bydlę hitlerowskie, lekarz i pan życia i śmierci, przeliczył szeregi. Po sprawdzeniu notatki, którą przyniósł z kancelarii obozowej, dodał głośno „stimmt" i „wegtreten". To „wegtreten" bardzo mu się podobało, ponieważ więźniowie będąc bici batami, uciekali jeden przed drugim, skakali, przy czym łamali żebra, tłukąc się wzajemnie. Teraz przyglądał się i oczekiwał swojego codziennego widowiska.

„Kalfaktorzy", spluwając w ręce, w których trzymali długie bykowce, lub sprężynowe baty, patrzyli na nas groźnie. Biedziński podał komendę „na prycze!" Trąba powietrzna nie zmiata tak wszystkiego szybko, jak my, wynędzniali więźniowie, biegliśmy na swoje prycze. Skakał jeden po drugim, łamał ręce i żebra, byleby ujść przed wściekłymi jak psy „kalfaktorami", którzy nieludzko z tyłów okładali batami. Byleby szybciej.

— „Eins, zwei, drei und Ruhe!" — krzyknął nagle drugi kalfaktor Hermann Kwassny.

Cisza zaległa. Można było usłyszeć przelatującą muchę.

Lecz nagle, ktoś chcąc się poprawić w niewygodnej pozycji ruszył butem. Wszystko stracone, niemiecki „lagerfueher" wściekł się, krzyczał przeraźliwie. „Kalfaktorom" począł grozić, że jak nie potrafią utrzymać porządku, przy najbliższej okazji wstawi ich na listę do rozstrzelania.

Po wyjściu „lagerfuehrera", wściekli „kalfaktorzy" ustawili nas w dwójki i ćwiczyliśmy „żabki". Skaczących w przysiadzie, siekli bykowcami po grzbietach i twarzach, nie szczędząc oczów i zębów, w które kopali ciężkimi butami. Zastawialiśmy się rękami, lecz nic nie pomogło. Ręce puchły od uderzeń, a oni bili jeszcze więcej i wściekIej. Przewracali kopaniem, skakali po głowach i piersiach, obcasami uderzając zapalczywie po twarzach. Krew zalewała oczy.

Po półgodzinnym ćwiczeniu „żabek" połowa więźniów leżała bezwładnie pokrwawiona na posadzce. Byliśmy już zobojętniali na uderzenia. Mogli zabić, było nam wszystko jedno. Ćwiczenia „żabek" zmieniono następnie na czołganie się na łokciach, lecz to wykonywaliśmy nie po myśli „kalfaktorów" i „wachmanów", którzy wyzywając nas od polskich świń, kopali ciężkimi butami.

Gdy kazano później zmienić ćwiczenia na „kniebeugen", już mało kto się ruszał. Mimo bicia i kopania, nie byliśmy zdolni do wykonania innych ćwiczeń.

Kazano pójść na prycze, lecz podnieść nie mogliśmy się, ponieważ nogi w połowie załamywały się i trzeba było się do pryczy doczołgać.

Wdrapałem się na swoje karne czwarte „piętro" i zaraz ze zmęczenia usnąłem. Gdy się obudziłem, był już wieczór. Okropny głód dokuczał. Czułem straszny ból. Opuchniętymi rękami dotknąłem głowy i twarzy, która cała była obita.

W nocy z Wielkiego Czwartku na Piątek, obudził nas straszny krzyk.

To krzyczał „zugang". Nowi więźniowie, musieli na komendę padać i podnosić się, uciekać od kopnięć i batów. Za nimi latało kilku wachmanów z kijami i nasi „kalfaktorzy" z bykowcami. Więźniowie leżeli przez całą godzinę na dziedzińcu, aż zmęczeni stracili przytomność. „Kalfaktorzy" bili dalej. Wszyscy nazajutrz prali swoje zakrwawione ubrania.

W Wielki Piątek „gestapo" zjechało i normalnie poczęło prowadzić swoje śledztwo.

Na pierwszy ogień wybrano Mariana Gawędę, po nim Romana Wątrobińskiego, Edwarda Kauczyńskiego, Frąckiewicza, Surmę i wielu innych.

Zeznania nasze nie zgadzały się. Trudno było się wykręcić, bo oficjalnym już wówczas agentem gestapa był Marian S., który sypał wszystkich i wszystko.

Za tego „judasza" braliśmy teraz lanie. Wycia i jęki rozlegały się wokoło. Maniek Gawęda dostał już około 150 bykowców, będąc kilka razy zlewany wodą, Romek Wątrobiński wije i łamie się wpół pod sprężynowym batem. Nie krzyczał lecz rzęził tylko, spluwając krwią.

Nie wiem co dalej było. Gdy się ocknąłem, musieli nas uczciwie zlać wodą, bo byłem cały mokry. Woda na posadzce mieszała się z naszą krwią. Uśmiechnięte twarze gestapowców zapraszały na papierosa, którego chętnie podsuwali, byleby im tylko „Wahrheit" powiedzieć. Kazali nam odejść. Poszliśmy, utykając na prycze. Za nami szedł nietknięty konfident, paląc ostentacyjnie i mile uśmiechając się do gestapowców.

Wezwali następnie kpt. Snowskiego do śledztwa, lecz gdy ten na krótkie pytanie dał jeszcze krótszą odpowiedź, legł pod ciężkimi butami gestapowców. „Kalfaktorzy" bili leżącego gdzie popadło. Jakiś „wachtmeister" o nazwisku Musioll z lotnej kompanii „Hilfspolizei" podszedł do niego i kopał jego głowę jak piłkę, która głucho odbijała się od ściany, klnąc przy tym i wymyślając po polsku. Czynił to z wyraźną satysfakcją.

Tak spędziliśmy Wielki Tydzień w obozie mysłowickim w 1941 r.

Stefan Polak



Z lewej: Obmywanie nóg w rzece w Wielki Piątek, przed wschodem słońca. — Z prawej: Gdy w Wielki Piątek milkną dzwony, rozlega się po wsiach dźwięk klekotek. To chłopcy z klekotkami biegną od domu do domu, u progu każdej chaty odmawiając pacierze

Władysław St. Reymont

U Borynów przed świętami

(Fragment z części III „Chłopów")

...A wczesnym rankiem, i a samym świtaniu, Józka, choć śpioch był największy, pierwsza się zorwała z łóżka, przypominając jazdę po zakupy i biegnąc budzić chłopaków, żeby konie szykowali, a nawet po tym hardo się postawiła, kiej Hanka przykazała Pietrkowi założyć do wozu gniada.

— Ją w deskach i ślepa kobyła nie pojadę! — wrzeszczała z płaczem. — Cóżem to dziadówka, by mnie w gnojnicach wozili? Wiedzą przecie w mieście, czyjam córka! Ociec by nigdy na to nie pozwolili...

Narobiła tyle piekła, że postawiła na swoim i wyjechała bryka i para koni, z parobkiem na przednim siedzeniu, jak to gospodynie zazwyczaj jeździły.

— A czerwonego kup, a złocistego i jakie ino będą papiery! — wołał za nią Witek z ogródka, gdzie już równo ze świtaniem rozbijał na zagonikach pecyny i spulchniał ziemię, gdyż Hanka jeszcze dzisiaj zamierzała tam posiać rozsadę. A gdy gospodyni dłużej się nie pokazywała z chałupy, leciał na drogę i z drugimi chłopakami grzechotał pod płotami, że to od rana dzwony umilkły, jak to było we zwyczaju w każden Wielki Czwartek.

Pogoda się ustalała podobna wczorajszej: smutniej jeno było jakoś na świecie i jakby ciszej. W nocy przyszedł zjab, to ranek podnosił się osiwiały rosami przemglony a chłodny że już na dużym dniu, a jeszcze świegotały jaskółki na dachach pokulone i rozgłośniej krzyczały gęsi, wypędzone na staw, ale wieś, skoro jeno rozedniało, wstała od razu na równe nogi.

Jeszcze do śniadań było daleko, a już powstał rwetes i kretanina, dzieci zaś wypędzane z chałup, by nie przeszkadzały, nosiły się po drogach grzechocąc i klekocąc w kołatki.

Nawet mało która poszła na mszę, odprawiającą się dzisiaj bez grania i dzwonienia.

Szła już bowiem ostatnia pora, by się zabierać do porządków świątecznych, a głównie do wypieku chlebów i zaczyniania a placki, a owe wymyślne kukiełki, toteż prawie w każdej chałupie okna i drzwi stały szczelnie poprzywierane, by ciast nie zaziębić, buzowały się ognie, a z kominów biły dymy w pochmurzone niebo.

Po oborach zaś ryczały inwentarze, żłoby ogryzając z głodu, świnie pyskały w ogródkach, drób się wałęsał po drogach, a dzieci robiły, co chciały, za łby się wodząc i po drzewach łażąc za wronimi gniazdami, gdyż nie było komu przeszkodzić, bo wszystkie kobiety tak się zajęły rozczynianiem i toczeniem bochenków, otulaniem w pierzyny dzież i niecek z ciastem, wsadzaniem do pieców, że jakby o całym świecie zapomniały, tym się jedynie frasując, by zakalec nie wlazł do placków, albo się nie spaliły.

A wszędzie szło to samo: u młynarza, u organistów, na plebanii, u gospodarzy czy komorników, bo żeby najbiedniejszy i choćby na bórg, albo za tę ostatnią ćwiertkę, a musiał sobie narządzić takie święcone, żeby choćia raz w rok, na Wielkanoc, podjeść do woli mięsiwa i onych smakowitych różności.

Że zaś nie wszędzie mieli szabaśniki do wypieku, to w sadach między chałupami gęsto krążyły dziewuchy z naręczami szczap, a niekiedy ukazywały się nad stawem kobiety umęczone, rozebrane i na procesji owe feretrony, ostróżnie dźwigające wielgachne stolnice i niecki pełne placków, ponakrywanych poduszkami.

Nawet w kościele szła robota: parobek księży zwoził z lasu świerczaki a organista, wespół z Rochem i Jambrożym jął przystrajać grób Pana Jezusowy.

A nazajutrz, w piątek, robota się jeszcze wzmogła tak bardzo, że nawet mało kto dojrzał organistowego Jasia, któren z klas na święta przyjechał i spacerował po wsi w okna jeno zaglądając, gdyż ani sposobu zajrzeć było do kogo, ni z kim pogadać.

Jakże, ani wleźć do której chałupy, bo wszędzie przejścia i nawet sady stały zawalone szafami, łóżkami, a sprzętem przeróżnym, że to izby bielili dzisiaj na gwałt, szorowali podłogi, a przed domami myli do czysta obrazy, powystawiane pod ściany.

Wszędy zaś taki gwałt panował i kretanina, że w dyrdy biegali poganiając się jeszcze do pośpiechu i wrzawę czyniąc coraz większą, dzieci nawet pędząc do zgartywania błota w obejściach i wysypywania żółtym piaskiem opłotków.

A że wedle starego obyczaju od piątku rana aż do niedzieli nie godziło się jeść ciepłej warzy, więc głodowali źdźiebko na chwałę Pańską, poprzestając na suchym chlebie i ziemniakach pieczonych.

Juści, iż przez te dni takusieńko kaj indziej działo się i u Borynów, tylo jeno różnie, że więcej było rąk i z groszem skrzybot mniejszym, to i rychlej pokończyli przygotowania.

W piątek, już o samym zmierzchu, Hanka wespół z Pietrkiem skończyła bielenie izby i chałupy, więc zaczęła się śpiesznie myć i przyogarniać do kościoła, bo już szły drugie kobiety na złożenie do grobu Ciała Jezusowego.

Na kominie huczał duży ogień i w grapie, którą dwojgu ciężko było podjąć, gotowała się cała świńska noga, naprzód ce wczoraj przywędzona, w mniejszym zaś saganie kiełbasy parkotały, że po izbie chodziły takie wiercące w nozdrzach smaki, aż Witek, strugający cosik wpośród dzieci, raz po raz nosem pociągał i wzdychał.

A pod kominem, w samym świetle ognia, siedziały zgodnie Jagna z Józką, zajęte pilnie kraszeniem jajek, a każda swoje z osobna chroniła i kryjomo, aby się barzej wysadzić. Jagusia najpierw myła swoje w ciepłej wodzie i wytarte do sucha dopiero znaczyła w różności roztopionym woskiem, a potem wpuszczała we wrzątek bełkocący we trzech garnuszkach, w których je kolejno zanurzała. Żmudna była robota, bo wosk miejscami nie chciał trzymać, albo jajka w rękach się gniotły lub pękały przy gotowaniu, ale w końcu naczyniły ich przeszło pół kopy i nuż dopiero okazywać sobie i przechwalać się pięknymi kraszonymi!

Kaj się ta było Józce mierzyć z Jagusią! Pokazywała swoje, w piórkach żytnich i cebulowych gotowane, żółciuchne, białymi figlasami ukraszone i tak galanto, jak mało która potrafiła, ale ujrzawszy Jagusine, gębę ozwarła z podziwu i markotność ją chyciła. Jakże, to aż mieniło się w oczach, czerwone były, żółte, fiołkowe i jak lnowe kwiatuszki niebieskie, a widać było na nich takie rzeczy, że prosto nie do uwierzenia: koguty piejące na płocie, gąski na drugim syczały na maciory, uwalone w błocie, gdzie znów stado gołębi białych nad polami czerwonymi, a na inszych wzory takie i cudeńka, kiej na szybach, gdy mróz je lodem potrzęsie.

Dziwowali się temu oglądając raz po raz, a kiej Hanka powróciła z Jagustynką z kościoła, też wzięła patrzeć, ale nic nie rzekła, jeno stara, przejrzawszy wszystkie szepnęła w zdumieniu:

— Skąd się to bierze u ciebie? No... no... no...

— Skąd?... a samo tak z głowy pod palce przychodzi!

Uradowana była!

Dobrodziejowi by porę zaniosę!

— Święcił jutro będzie, to mu podam, może weźmie...

— Takie śliczności, że dobro dzieci nie widzieli!... zdziwują się wielce! — mruknęła urągliwie Hanka, gdy Jagna poszła na swoją stronę, bo już późno było.

Na wsi też długo w noc siedzieli tego wieczora.

Chmurno było na świecie i ciemno, choć spokojnie, młyn jeno turkotał zawzięcie, a po chałupach prawie do północki świeciło się w oknach, że kładły się światła na drogi, a kajś niekaj na stawie się trzęsły wraz z wodą, majstrowali one świąteczne przyodziewy i kończyli jeszcze roboty.

Sobota zaś przyszła całkiem ciepła i mgłami rzadkimi stulona, ale jakoś weselnie było na świecie, że naród chociaż po ciężkiej pracy wczorajszej, żwawo się podnosił do nowych utrudzeń i turbacyj.

A przed kościołem wnet się zatrzęsło od przekrzyków i biegów, bo jak to było we zwyczaju odwiecznym, w każdą Wielką Sobotę, zebrali się zaraz rankiem, chować żur i grzebać śledzia, jako tych najgorszych trapicieli przez wielki post. Nie było parobków ni starszych, to zmówiły się na to same chłopaki, jeno z Jaśkiem Przewrotnym na czele, porwali gdziesik wielki garnek z żurem, do którego jeszcze dołożyli różnych paskudności.

Witek dał się namówić i poniósł garnek na plecach w siatce od serów, drugi zaś chłopak wlókł pobok na postronku śledzia, wystruganego z drzewa. Żur ze śledziem szły w parze, przodem, za nimi całą hurmą reszta grzechocąc, kołatając a wrzeszcząc, co ino gardzieli starczyło. Jasiek wiódł wszystkich bo chociaż głupawy był i niemrawa, ale do psich figlów głowę miał i sprawność. Obeszli w procesji cały staw i koło kościoła skręcili już na topolową drogę, kaj się to miał odbyć pochowek, gdy wtem Jasiek walnął łopatą w garnek, że rozleciał się w kawałki, a żur z onymi różnościami polał się po Witku.

Uciecha zapanowała, aż przysiadali na drodze, ale Witek się zeźlił i prosto z gołymi rękom rzucił się na Jaśka, pobił się z drugimi, aż wyrwawszy się poleciał z rykiem do chałupy.

Dołożyła mu jeszcze Hanka od siebie za zniszczony całkiem spencerek i w las pognała po borowinowe gałęzie i wasr zajęcze.

Jeszcze się z niego zeŚmiał Pietrek, a i Józka nie pożałowała, pilnie wysypując szerokie opłotki, aż do drogi, piaskiem, przywiezionym spod cmentarza, bo tam był najżółciejszy, wysypała też cały zajazd przed gankiem i ścieżkę pod okapem, że jakby opasała chałupę w żółtą wstęgę.

A w Borynowej izbie już się wzięli szykować święcone.

Izba była wymyta i piaskiem wysypana, okna czyste i ściany omiecione z pajęczyn, Jagusine zaś łóżko pięknie chustką przykryte.

Hanka z Jagusią i Dominikową, choć nie mówiły prawie z sobą, ustawiły pod szczytowym oknem, wpodle Borynowego łóżka, duży stół, nakryty cieniośką, białą płachtą, której wręby oblepiła Jagusia szerokim pasem czerwonych wystrzyganek. Na środku, z kraja od okna postawili wysoką pasyjkę, przybraną papierowymi kwiatami, a przed nią na wywróconej donicy baranka z masła, tak umyślnie przez Jagnę uczynionego, że kiej żywy się widział, oczy miał ze ziarn wlepione, a ogon uszy, kopytka i chorągiewkę z czerwonej postrzępionej wełny. Dopiero zaś pierwszym kołem legły chleby pytlowe i kołacze pszenne, z masłem zagniatane i na mleku, po nich następowały placki żółciuchne, z rodzynkami kieby tymi gwoździami gęsto ponabijane, były i mniejsze, Józine i dzieci, były i takie specjały z serem i drugie (jajeczne), cukrem posypane i tym maczkiem słodziuśkiem, a na ostatku postawili wielką miche ze zwojem kiełbas, ubranych jajkami obłupanymi, a na brytwance całą świńską nogę i galanty karwas głowizny, wszystko zaś poubierane jajkami kraszonymi, czekając jeszcze na Witka, by ponatykać zielonej borowiny i tymi zajęczymi wargami opleść stół cały.

A tyle co skończyły, sąsiadki zwolna jęły znosić swoje na miskach, nieculkach a donicach i ustawiać je na ławie pobok stołu, gdyż ino w kilku chałupach co przedniejszych gospodarzy zbierać się ze święconym ksiądz nakazywał, że mu to czasu brakowało chodzić po wszystkich.

Lipce miał najbliżej, to święcił na ostatku, nieraz już o samym zmierzchu.

Porozchodziły się bez dłuższej pogwary, by zdążyć jeszcze do kościoła na uroczystość poświęcenia ognia i wody, zalewając przedtem ogniska w chałupach, by je znowu rozniecić tym młodym, poświęconym ogniem.

Poleciała na to i Józka, zabrawszy dzieci z sobą.

Ale siedzieli dość długo, bo dopiero w samo południe powracały kobiety ostrożnie przesłaniając i chroniąc świece zapalone w kościele.

Józka przyniosła wody całą flaszkę i ogień, którym zaraz Hanka rozpaliła drwa przygotowane i pierwsza też wody święconej popiła, dając kolejnie wszystkim — od chorób gardzieli pono strzegła — a potem skropiła nią inwentarz i drzewiny rodne w sadzie, że to się przyczyniało do urodzajów i dawało bydlątkom letkie lagi.

A później widząc, że ni Jagna, ni kowalowa nie pomyślała o starym, umyła go w ciepłej wodzie, przyczesała jego skołtunione włosy i przewlekła mu koszulę i pościele. Boryna dozwalał robić z sobą wszystko nie poruszywszy się ani razu, leżał jak zawżdy wpatrzony przed siebie i martwy jak zawżdy..

Zaraz z południa zrobiło się na wsi jakby święto, jeszcze tu i ówdzie doganiali grubszej roboty, ale już głównie zajęli sie przyodziewkiem świątecznym, czesaniem, myciem i szorowaniem dzieci, że nie z jednej chaty wydzierały się krzyki obronne.

I wypatrywali niecierpliwie księdza, któren przyjechał ze dworów dopiero przed zmrokiem i zaraz zjawił się na wsi, w komżę ubrany.

Michał organistowy niósł za nim miednik z wodą święconą i kropidło.

Hanka wyszła go przyjmować aż na drogę.

Spieszył się, wpadł prędko do chałupy, odmówił modlitwę, pokropił dary Boże i zajrzał w sina, obrosłą twarz Borynowa.

— Bez zmiany? co?

— A juści, rana się prawie zagoiła, a im nic nie lepiej.

Zażył tabaki, powlókł oczyma po kupiących się przy progu i w sieniach.

— Gdzie to ten chłopiec, który mi sprzedał bociana?

Józka wypchnęła spod komina na środek zawstydzonego Witka.

— Naści dziesiątkę, udał ci się: tak kury goni z ogrodu, że ani jedna nie zostaje! — A jutro które do mszów idą?

— Z pół wsi się wybiera!

— To dobrze, byle tylko zgodnie i cicho, a na rezurekcję przychodzić, o dziesiątej zacznę, mówię: o dziesiątej! A śpicie w kościele, to Ambrożemu każę wyprowadzić! — dodał groźnie wychodząc powoli.

Ruszyli z nim całą gromadą odprowadzając do młynarzów.

A Witek pokazując Józce miedzianą dziesiątkę, szepnął ze złością:

— Niedługo będzie mój bociek księże kury płoszył, nie!...

Rozbiegli się we dwie strony, bo gospodyni wracała na ganek.

Ściemniało się zwolna, zmierzch cichutko, sypał się na ziemię zatapiając sady, domy i pola okólne w modrawym, ledwie przejrzanym macie, bielały kajś niekajś ściany z przypadłych do ziemi chałup i trzęsły się wskroś sadów zapalone światła, górą zaś, na niebie jasnym, wyrzynał się blady sierp młodego miesiąca.

Świąteczną cichością osmuła się wieś i mrokiem, w kościele, wyniesionym nad chałupami, zagorzały wszystkie okna i w otwartych wielkich drzwi biła szeroka smuga światłości.

Wkrótce zaturkotały pierwsze wozy, zajeżdżające przed cmentarz, i ludzie z dalszych wsi nadchodzić poczęli gromadami, z chałup lipeckich też raz po raz wychodzono do kościoła, bo często z wywieranych drzwi padała w noc struga światła, topiąc się w omroczałym stawie, i tupoty a przyciszone pogwary mrowiły się w ciepłym i omglonym powietrzu. Pozdrawiali się na drogach, nie dojrzawszy w nocy, i niby ta rzeka, wzbierająca zwolna a bezustannie, ciągnęli na rezurekcję.

U Borynów na gospodarstwie, do pilnowania ostawały jno psy, stary Bylica i Witek, któren pilnie majstrował wespół z Maćkiem Kłębowym kogutka, co to z nim mieli pójść po dyngusie.

Hanka wyprawiła najpierw Józkę z dziećmi i parobka; sama później miała nadejść. Ubrana już była, ale ociągała się z wyjściem, jakby na coś oczekując, że wciąż wystawała w ganku i stróżowała na drodze. Dopiero gdy Jagna poszła z kowalową i dosłyszała kowala idącego z wójtem ku kościołowi, wróciła do izby, przykazując cosik po cichu staremu. Stanął na straży w opłotkach, a ona wsunęła się na palcach do ojcowej komory... Po dobrej półgodzinie wyszła stamtąd coś pilnie zapinając stanik, oczy jej gorzały i ręce się trzęsły.

Nagadała czego nikto nie pojął i poszła na rezurekcję.

JÓZEF WITTLIN

Stabat Mater

Stała matka bolesciwa — na rynku
Przy swym martwym, powieszonym synku.

Stała w świata przeraźliwej pustce
Polska matka w służącowskiej chustce.

Nie płakała i nic nie mówiła
Zimne oczy w zimne zwłoki wbiła.

Wisiał bosy, z wszystkiego wyzuty.
Niemcy przedtem zabrali mu buty.

Będą w butach jej syna chodzili
Po tej ziemi, którą pohańbili.

Po tej ziemi, która umęczona
Stoi — patrzy — i milczy — jak ona.

* * *

Stabat Mater, Mater Dolorosa,
Gdy jej synów odcinali z powroza.

Kładła w groby, głuche jak jej noce, —
Martwe swego żywota owoce.

Stabat Mater, Mater Nostra, Polonia,
Z cierni miała koronę na skroniach.

(„Nowa Polska", Londyn)

JANINA WAZŁOWA

W palmową niedzielę...

Ubrała się Hanka
w spódniczkę kwiecistą,
czerwone korale,
gorsecik obcisły . . .

Puszyste bazie
zerwane nad rzeczką,
związała piękną
zieloną wstążeczką

i wiejską drogą
spieszy do kościoła —
bo to dziś przecie
niedziela palmowa!

A gdy powróci —
zawiesi te bazie
nad swym łóżeczkiem,
pod świętym obrazem...

Za to rok cały
od wszelkiej choroby
będą ją strzegły
bazie poświęcone.

Hanka z baziami
do kościoła idzie,
myśląc radośnie:
„Wielkanoc za tydzień!"

Rozrywki umysłowe

46 KONKURS ROZRYWKOWY

Część II

Warunki konkursu ogłoszone zostały w Nr 12 „Świat i Życie" z dnia 23. III. 1947 r.

1. REBUS — 1 pkt.
(uł. Bu-mi)

1=Ż
2 przyp
6=Ć
3=a
z
a
V

2. ZAGADKI — ŻARCIKI — 2 pkt.
(p. S. Sobolewskiemu poświęca „Teka")

Nad rachunkiem z literami nad-[łamałem trochę głowę
Daję panu więc w rewanżu trzy [zagadki literowe:
1. Co to za litera, co powieści [tworzy
Nierzadko się zdarzy, że i [wiersz ułoży.
2. Czyja to litera tak umila [chwile.
Że spędzam czas mądrze, z po-[żytkiem i mile
3. Przez jaką i ile trzeba liter [mnożyć,
By majątek wielki, choć mały [utworzyć.

3. SZARADA — PANEGIRYK — 3 pkt.
(uł. A. Pręczkowska)

Cześć temu i sława, co bierze [sprawy **pięć-sześć**.
Jak promieniami **cztery** prze-[świetla głupstwa treść.
Raz trzeba **trzy-dwa**, aby bolesny [zadać cios.
Niech żyje **cały** — dowcipu i roz-[sądku głos.

4. ZADANIE KOLEJOWE — 2 pkt.

Na linii kolejowej znajduje się pewna ilość stacji. Z każdej stacji można dostać bilet do wszystkich innych. Gdyby na tej linii było o 4 stacje więcej, to trzeba by wydrukować 300 nowych rodzajów biletów kolejowych. Ile jest stacji?

5. ARYTMOGRAFO-KONIKÓWKA — 4 pkt.
(uł. EMKA)

Cyfry konikówki należy zastąpić odpowiadającymi im sylabami, które otrzymamy po odgadnięciu wyrazów klucza pomocniczego. Następnie ruchem skoczka szachowego odczytać rozwiązanie.

1	2	3	4		5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15	16	17
18	19	7	20	21	5	18	22	23
19	24	25	26	27	27	28	29	8
30	31	32	13	33	34	15	35	36

Klucz pomocniczy — sylabowy:

a) 19, 1, 18 — ulubiony
b) 2, 25, 30 — karesy, pieszczoty
c) 32, 2, 15 — fakt psychiczny
d) 9, 20, 3 — koncepty
e) 22,3 — inaczej „spożyły"
f) 9, 4, 5 — inaczej „podzielona", „pokrojona"
g) 12, 5 — dni uroczyste
h) 19, 8, 5 — niewiasta
i) 29, 6, 13 — inaczej „umarłe"
j) 7, 27 — części atomów (r=l)
k) 10, 11 — przeciwieństwo wyrazu „przedniej"
l) 32, 24, 13 — porządne, solidne
ł) 14, 15 — obróbka metali na gorąco
m) 14, 20 — sfermentowane mleko klaczy
n) 16, 17 — przyrząd do malowania (dz = z)
o) 23, 35, 18 — substancje powodujące śmierć organizmów
p) 26, 31, 18 — kraj rodzinny (2 przyp. l. p.)
r) 19, 28 — święty lekarz - męczennik z Cylicji
s) 21, 34 — kajdany
t) 34, 27 — ławka wiejska (2 przyp. l. p.)
u) 33, 36 — przyjemne.

Rozwiązania powyższych zadań będą uwzględnione w wypadku nadesłania ich w terminie do dnia 11 kwietnia 1947 r.

Rozwiązanie zadań z nr 10

1. **Rebus**: Danina Narodowa przyśpieszy zagospodarowanie Ziem Zachodnich.
2. **Szarada**: Niemcy czekają na nowego dyktatora.
3. **Krzyżówka w kole:**

a) **wirowo:**
1. Motława, 5. Isauria, 11. wtórnik, 15. popłoch, 21. glin, 22. emir, 23. Tana, 24. prom, 25. niedola, 27. gal, 28. Irawadi, 30. tut. (ejszy), 31. Iwanow, 33. Seneca, 35. Ignacy, 37. Ramsay, 39. Ra, 40. Asnyk, 41. en, 42. rue, 43. en 44. trema, 45. Aa, 46. Man, 47. gaffa, 49. labet, 51. komunikowanie, 52. kombinatoryka.

b) **dośrodkowe:**
2. Oliwa, 3. ładunek, 4. Wolak, 5. Ilmen, 6. si, 7. Angara, 8. relief, 9. im, 10. Aisne, 12. toryt, 13. Riwiera, 14. Indra, 15. Pansa, 16. on, 17. patyna, 18. optime, 19. Cr(chrom), 20. homar, 25. no, 26. ae, 28. (n)ic, 29. ia, 32. Naim, 34. neon, 36. Anam, 38. maty, 42a. ufa, 46a. Abo, 47. ge, 48. AK, 49. la, 50. t/a/k.

4. **Dzieci prof. Ułamka:**

Szukany wiek poszczególnych dzieci oznaczamy przez x, y, z. Wówczas otrzymamy:

(1) $x + y + z = 23$
(2) $x.\,y.\,z - (x-1)\,(y-1) = 113$

Z równania (1) wynika, że x, y, z nie mogą być wszystkie parzystymi, bo suma ich jest liczbą nieparzystą. Z tego samego powodu dwie z tych liczb nie mogą być nieparzyste a trzecia parzysta, albowiem w tym wypadku suma ich byłaby parzysta.

Warunek (2) wyklucza możliwość, że dwie z szukanych liczb są parzyste, a trzecia nieparzysta. Wtedy bowiem zarówno x. y. z. jak i (x-1), (y-1), (z-1) byłyby parzyste i ich różnica nie mogłaby się równać 113.

Pozostaje zatem jedyna możliwość: x. y. z. są liczbami nieparzystymi.

Żadne z dzieci prof. Ułamka nie może mieć 1 roku, bo w tym wypadku równanie (2) przyjęłoby postać $x.\,y.\,z = 113$, co jest niemożliwe, gdyż 113 jest liczbą pierwszą.

Pozostają więc liczby 3, 5, 7, 11, 13 i 15. (po wyeliminowaniu 1 i liczb parzystych od 2 do 16).

Następujące trójki tych liczb spełniają równanie (1): 3, 5, 15; 3, 7, 13; 3, 9, 11; 5, 7, 11.

Pierwsza trójka spełnia także równanie (2) jest więc rozwiązaniem.

Dzieci prof. Ułamka mają 3, 5 i 15 lat.

DOBRE ROZWIĄZANIA Z NR 10 • W TERMINIE NADESŁALI:

Baworów: S. Sobolewski, **Bielsko:** D. Niemcowa, **Chorzów:** K. Żelazo, **Dąbrowa:** Z. Łobodowa, **Gliwice:** M. O., **Głogówek:** K. Sobolewska, **Jelenia Góra:** T. Wilczyński, **Katowice:** A. Łoboda, M. Kopeć, Z. Czaplicki, H. Nowakowska, Z. Łabęcki, **Kłodzko:** M. Jankowski, **Rzeszów:** Z. Kołodziejówna, **Skałka:** L. Burczyk, **Szopienice:** B. Namysło, H. Kosma, **Świdnica:** E. Parnicka, **Świętochłowice:** K. Klauziński, T. Kubiczek, **Wałbrzych:** J. Meszaros, **Żywiec:** A. Grzyb.

W wyniku losowania nagrody otrzymali:

1. **Z. Czaplicki, Katowice** — J. Parandowski „Niebo w płomieniach".
2. **Mgr. A. Łoboda, Katowice** — J. Iwaszkiewicz „Nowa miłość".
3. **L. Burczyk, Skałka k. Nysy** — W. Żukrowski „Z kraju milczenia".

Nagrody wysyłamy pocztą.

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

P. Ciepałek: W sprawach liczb kolistych (142857) odsyłamy do dzieł inż. S. Jeleńskiego: Lilavati str. 106—108 oraz „Śladami Pitagorasa" str. 104—107. **E. Matwiejczuk:** za wyrażone uznanie dziękuje panu T. Adamiecki. **K. Klauziński:** chętnie korzystamy z honorowej współpracy. **A. Grzyb:** dziękujemy i prosimy o więcej. **K. Trzeszewski, S-ka, Wałbrzych:** nie zamieścimy. **T. Kubiczek i Czarny Pirat:** uprzedziliśmy życzenia. **G. Rożyńska:** jak wyżej. Odpowiedź spóźniona. Pluralis majestaticus wprowadził panią w błąd, chodziło o jedną osobę, która nie jest aż tak ważna, by drukować wizerunki.

Świat się śmieje...

KTO WYŻEJ

— No tak, ale ty masz buciki na wysokich obcasach!
(„Canard Enchaîné")

WAKACJE NURKA

— Niestety, ten miesiąc urlopu strasznie szybko mi przeleciał...
„Tour à Tour")

NA GRANICY

— I pan to nazywa, że pan nie ma nic do oclenia...?
— Widzi pan, ja tak nie lubię się chwalić tym, co posiadam...
(„Ici Paris")

W EPOCE KAMIENNEJ

P. Sylwe

— Ach najdroższa, to nic wielkiego, to tylko sobie taki zwyczajny diplodocus giganteus...
(„New Yorker")

TROSKLIWY MĄŻ

— Jak można się kąpać w taką pogodę bez parasola!
(„L' Os Libre")

KRYZYS MIESZKANIOWY

— Czy pan pozwoli tak do tej budki na pięć minut...?
(„Le Rire")

W WIĘZIENIU

— Cóż to ma znaczyć?
— A to panie strażniku dlatego, ponieważ było mi bardzo duszno...
(„Carrefour")

OPTYMIZM

I pomyśleć, że pewnego dnia będziemy mogli sobie zawiesić pomiędzy nimi hamak...
(„Daily Express")

Wiosenne gody słonek



W czasie wiosennych godów gromadziły się słonki na jeziorze codziennie po zachodzie słońca

W tygodniku „Country Life" ukazał się ciekawy opis fotografa-amatora, Artura Brooka, przedstawiający wieczorne zloty słonek, których punktem zbornym był jeden ze stawów, leżących wśród wzgórz Walii. Artykuł ilustrowany był cennymi dla badania przyrody zdjęciami.

•

„Wśród walijskich pagórków — pisze Brook — odkryłem przypadkowo małe jeziorko, na którym wiosną i na jesieni odbywały się istne ptasie misteria... Jeziorko stanowiło miejsce pielgrzymek wielkiej ilości słonek. Na przełomie marca i kwietnia, w czasie wiosennych godów, gromadziły się tam codziennie po zachodzie słońca, jesienią zaś urządzały ponownie swe „meetingi", aby się tu przygotować do odlotu.

W końcu marca 1935 roku założyłem na brzegu jeziora, wśród krzaków, pewnego rodzaju atelier fotograficzne, składające się z aparatu i przyrządu do światła błyskowego, zamierzałem bowiem utrwalić na kliszy ciekawe zwyczaje tych ptaków. Stanowisko swe okryłem chytrze zielonymi gałęziami, pozostawiąc otwory dla obiektywu i magnezji i na krótko przed zachodem słońca wsunąłem się niespostrzeżenie pod zielony schron, cierpliwie czekając na słonki.

Po zapadnięciu zmierzchu usłyszałem wysoko w powietrzu charakterystyczny szum skrzydeł, znany mi już z dawniejszych wędrówek po lasach i moczarach i ostatnich obserwacji nad stawem. Na przeciwległym brzegu paliło się jasnym ogniem suche w owym czasie wrzosowisko, którego płomienie odbijały się czerwonymi błyskami na powierzchni jeziorka, toteż widziałem dokładnie, jak ptaki siadały na brzegu, pokrytym kępkami zeszłorocznych traw. Gdy ptasie towarzystwo zebrało się w dostatecznej ilości, podpaliłem ładunek magnezji i wykonałem zdjęcie. Błysk magnezji wywołał wprawdzie trochę niepokoju wśród tych długodziobych ulubieńców myśliwych całego świata, — lecz słonki nie odleciały. Prawdopodobnie zdążyły się już przyzwyczaić do nadprogramowych efektów świetlnych, widząc płonącą kępę wrzosów po drugiej stronie stawu.

Drugie zdjęcie słonek wykonałem w parę dni później, w kwietniu, ukrywszy się jeszcze za dnia w mojej kryjówce. Ptaki długo nie nadlatywały i dopiero po zachodzie, gdy nastały zupełne ciemności, usłyszałem znany szum setek skrzydeł. Nocni goście lądowali całymi grupami.

Ptasie zebrania powtarzały się z zadziwiającą regularnością. W rok później, w marcu, dokonałem ponownego zdjęcia słonek, których było przynajmniej z pół tysiąca. Na negatywie naliczyłem ich 202 sztuki. Widać było, że niektóre musiały przebyć daleką drogę, by przylecieć nad staw o „umówionej" porze. Wypluskawszy się w wodzie, zaczęły swym zwyczajem wygładzać nastroszone pióra, wydając przy tym charakterystyczne, chrząkające głosy.

Tu i ówdzie rozlegały się odgłosy zaciekłej walki o miejsce, co wskazywało na wielką ilość nocnych wielbicieli stawu.

Po niespełna tygodniowym okresie, w czasie którego słonki co wieczór wracały na to samo miejsce i układały się do spoczynku, cała skrzydlata rzesza wyruszyła na poszukiwanie terenu wiosennych godów.

W rok później, w kwietniu, gdy wzgórza Walii okrywała jeszcze gruba warstwa śniegu, blisko setka bezdomnych słonek przybyła nad jeziorko i wracało tu codziennie aż do połowy maja.

Po wojnie, w marcu 1946 roku, odwiedziłem znowu te okolice i stwierdziłem ze zdumieniem, że wieczorne zebrania słonek powtarzają się z niezmienioną regularnością. To samo zaobserwowałem we wrześniu. Po zapadnięciu zmroku ptaki przybywały pojedyńczo, bądź parami i po kilku okrążeniach siadały na brzegu. Tym razem towarzystwo nie grzeszyło punktualnością, gdyż szum skrzydeł nowych gości słyszałem aż do północy. Przed lądowaniem słonki wydawały w powietrzu donośne chrząknięcia. Na sygnał ten odpowiadały ptaki siedzące na ziemi i dopiero wtedy przybysze, trzepocząc skrzydłami „podchodzili do lądowania". Wskutek długotrwałych deszczów — stawek przypominał raczej jezioro, lecz słonki mimo głębokiej wody czuły się doskonale.

Pewnego jesiennego wieczoru przyleciały wcześniej niż zwykle i większymi stadkami. Za godzinę był już cały komplet. Chciałem dokonać zdjęcia, gdy nagle, jak gdyby na znak dany przez niewidzialnego dyrygenta, cała czereda uniosła się w jednej chwili do góry, z ogłuszającym hałasem. Byłem przekonany, że coś je musiało spłoszyć i że za chwilę wrócą znowu nad wodę. Jednak szum w powietrzu zaczął się stopniowo oddalać i po paru minutach zapanowała cisza. Słonki odleciały do swych zimowisk." (tłum. zg)

Sprzęt wojenny z gumy

Sprzymierzeni, rozpocząwszy w okresie drugiej wielkiej wojny światowej ofensywę w Afryce, musieli w walce z Niemcami i Włochami chwytać się często forteli. Jednym z najskuteczniejszych z nich był sprzęt wojenny z gumy, używany przez aliantów.

W czasie trwania wojny sprzęt ten stanowił ważną i pilnie strzeżoną tajemnicę wojskową. Dopiero obecnie, gdy nastał pokój, Amerykanie uchylili rąbka tajemnicy. Wobec tego Anglicy poszli również w ich ślady. Amerykańskie ministerstwo wojny pozwoliło dziennikarzom ujawnić szereg szczegółów o sztucznym sprzęcie wojennym, którego z wielkim powodzeniem używano zarówno w Europie, jak i na froncie afrykańskim.

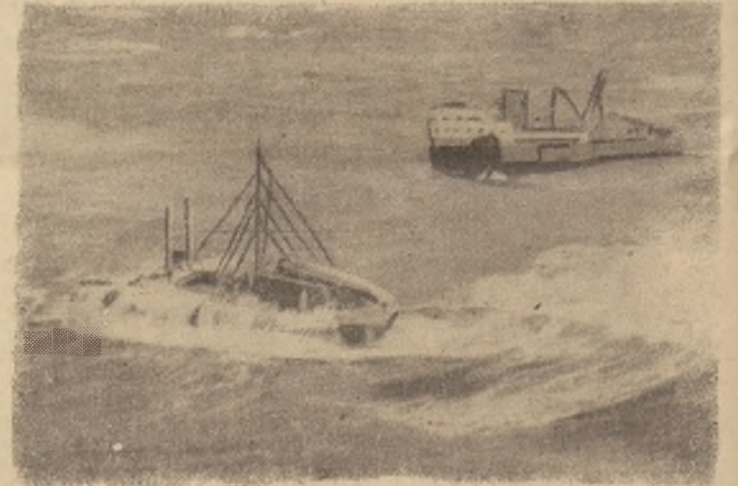
Chodzi tu przede wszystkim o łodzie z gumy, napełniane powietrzem. W okresie inwazji niejednokrotnie wyprowadziły one w pole Niemców. Do rzędu innych forteli zaliczyć trzeba działo przeciwlotnicze Boforsa. Choć nie mogło ono wyrządzić nikomu szkody, do tego stopnia imitowało prawdziwą zenitówkę, że oszukiwało obserwatorów nieprzyjacielskich, przelatujących nawet na wysokości 500 metrów i ściągało na siebie bombardowanie i ogień ciężkiej artylerii. Gdy się okazało, że Niemcy ostrzeliwują gorączkowo czołgi amerykańskie typu M 4, gdziekolwiek się one pojawią, uważają je bowiem za najgroźniejsze, dowództwo armii amerykańskiej jęło w wielu wypadkach zastępować te tanki gumowymi atrapami. Czołgi te, sporządzone z gumy i płótna, wyrabiała fabryka opon Firestone w Stanach Zjednoczonych.

Innym z forteli był angielski samochód ciężarowy, sporządzony również całkowicie z cienkiej powłoki gumowej. Wszystkie te przynęty można było schować w wielkim worku, a w razie potrzeby w ciągu pięciu minut napełnić powietrzem, które nadawało im rozmiary rzeczywiste. Grupa takich wypełnionych powietrzem czołgów i samochodów ciężarowych z gumy, umieszczona w jakimś lasku, na miejscu łatwo przez lotników nieprzyjacielskich dostrzeganym, napędzała Niemcom tęgiego strachu, albo nakłaniała ich do podejmowania gwałtownych ataków, wyczerpujących i ujawniających ich siły. Tu też trzeba szukać prawdopodobnie źródła przechwałek niemieckich komunikatów wojennych o zatopionych statkach, ustrzelonych czołgach sojuszniczych i tak dalej. Na pewno wiele z tych sukcesów opierało się na zniszczeniu alianckiego sprzętu wojennego, sporządzonego z gumy. (wm)

Z szerokiego świata



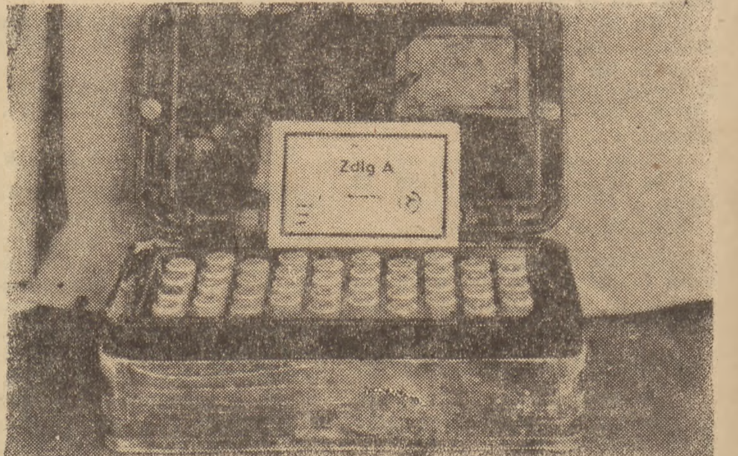
Generał Marshall w Moskwie w otoczeniu członków delegacji amerykańskiej. Zdjęcie radiowe



Norweski statek „Boliwar" uległ katastrofie u wybrzeży Irlandii, rozbijając się na dwie części, jak to widzimy na reprodukowanym zdjęciu



Ślizgowiec o napędzie rakietowym, osiągający szybkość 250 mil ang. na godz., sunie po jeziorze



Na wschodnim wybrzeżu Anglii fale morskie wyrzuciły szereg skrzyń z niemieckimi materiałami wybuchowymi. Zawartość jednej takiej skrzynki mogła spowodować śmierć 66 osób

Przeczytajcie dzieciom...

ZOFIA BRONIKOWSKA

Uszyj butki...

Siedzi Wojtuś w warsztacie
i naprzykrza się tacie:
— Uszyj butki dla naszego
kota! . . .

Tobie przecież tak łatwo.
migniesz szydłem i dratwą
i już będzie skończona
robota!

A kot pójdzie w tych butach
het, po błocie i grudach
i przyniesie ci wspaniały
skarb!

Tak jak tamten w bajeczce!
Chcesz — to zobacz w książeczce
na obrazku: Jak wyrusza
w świat! . . .

JÓZEF BARANOWSKI

Nocka...

Płynie księżyc w srebrnej łódce
Nad nim — gwiazdka mruga.
Wioskę — nocka otuliła,
Późna nocka długa.

I pogasły już w okienkach
Światełka . . .
Śpią ludzie.
Każdy bowiem rad odpocząć
Po codziennym trudzie.

Tylko czujny pies Azorek
Głośno poszczekuje.
Daje znać,
Że gospodarstwa
Wśród nocy pilnuje.